



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Jerzy Piszek

Opracowała Jolanta Mrzygłód-Piszek

## Ze Lwowa do Gdańska

### Moi przodkowie

Moich rodziców łączyło dalekie pokrewieństwo. Z relacji mojej babci wiem, że moja rodzina ze strony matki wywodzi się od pradziadka Józefa. Miał on dwóch synów: Edwarda i Jana, mojego dziadka. Od Jana wywodzi się czworo dzieci: Piotr, Antoni, Władysław i moja mama – Michalina.

Rodzina Pisków wywodzi się prawdopodobnie z Czech, a moja babcia Maria z domu Zuber ma pochodzenie austriackie. Piotr, najstarszy syn Jana i Marii ukończył szkołę średnią i w latach 20-tych wyjechał do Rzeszowa do pracy. tam poznał Leokadię i mieli dzieci – Zdzisława i Krystynę. Antoni ożenił się z Ewą i z tego związku jest Krystyna, która do tej pory mieszka we Lwowie. Moja mama wyszła za mąż za Jana i 30 lipca 1932 roku urodziłem się ja. Najmłodszy Władysław ożenił się z Katarzyną Steblicką i z tego związku była nieżyjąca już Zuzanna.

Mój dziadek (Jan) miał stryjecznego brata Józefa. Ten z kolei miał dwóch synów – Jana (mojego ojca) i Edmunda. W latach 20-tych wyjechał wraz z ojcem (Józefem) do Stanów Zjednoczonych. Tam miał syna Edwarda, który dorobił się wielkiego majątku.

Ze wspomnień mojego wujka Władysława wiem, że rodzice nie byli do końca udanym małżeństwem. Stąd też nie mam zbyt wielu wiadomości o rodzicach i rodzeństwie ojca.

Mój dziadek w ramach obowiązkowego poboru był w czasie i wojny światowej w armii austriackiej. Po zakończeniu wojny wracał do domu (jak wszyscy żołnierze pieszo). Była późna jesień. Kiedy przechodził przez miejscowość Zimna Woda (blisko domu, 20 km przed Lwowem) został napadnięty przez bandę Ukraińców. Już wtedy podnieśli głowy, bo wydawało im się, że będą mieli własne państwo. Złapali dziadka, upewnili się, że jest Polakiem, rozebrali go do naga, ukradli mundur, buty, nawet bieliznę osobistą i nagiego na tym mrozie okręcili drutem kolczastym i przywiązali do słupa telegraficznego. Na drugi dzień znalazła go miejscowa ludność i pochowali go jako nieznanego żołnierza. Jednak zaczęli się interesować, kto to zrobił, bo w owym czasie na tym terenie takie barbarzyństwo było jeszcze nieznaną i znaleźli winnych. U sąsiadów odzyskali portfel dziadka i w ten sposób babcia po roku dowiedziała się, gdzie jest pochowany jej mąż. Pojechała tam, w kościele zamówiła mszę i na grobie postawiła krzyż z tabliczką. W 1937 lub 1938 roku na Wszystkich Świętych pojechaliśmy z Babcią na grób Dziadka. Tak mi się to utrwaliło w pamięci, że do dzisiaj mama ten grób (który już pewnie nie istnieje) ma przed oczami. To był mój pierwszy kontakt z Ukraińcami, tymi bandytami, na tym terenie.

Ojca słabo pamiętam. W 1938 r. wyjechał w sprawach służbowych do Tarnowa (skąd pochodził) i tam miał wypadek samochodowy. Zginął i został pochowany w tym mieście. Jego pogrzebu nie pamiętam. Pozostały we mnie nieliczne wspomnienia o chwilach z nim spędzonych. Przypominam sobie, jak jechałem tramwajem do Stryjskiego Parku. Ojciec niósł mnie na rękach. Byłem malutkim chłopcem, może czteroletnim. Byliśmy tam i w pewnym momencie zgasły wszystkie światła, ludzie stanęli i nikt się nie ruszał. Wystraszyłem się niemiłosiernie – cisza, ludzie stoją, nikt się nie rusza. Pytam: „Tato, co się stało?” Odpowiedział mi, że umarł Piłsudski. Albo to było zawiadomienie o jego śmierci, albo pogrzeb.

Pamiętam też inny moment. Mieszkaliśmy wtedy w domu, chyba dwupiętrowym. Na parterze były dwa sklepy – jeden spożywczy, drugi prawdopodobnie rzeźniczy. Jak to w takim sklepie, po bokach były haki do wieszania mięsa. W pewnym momencie nastąpił tam remont. Ja się bawiłem na ulicy. Siedziałem na schodkach koło tego sklepu i bawiłem się jakąś zabawką. Moją uwagę zwróciły te haki wbite w ścianę. Były niklowane, świecące. Bardzo mi się podobały, chciałem sprawdzić, jak są zamocowane, i jak wyglądają z bliska. Malarze malowali właśnie to pomieszczenie, w którym one były, ale w pewnym momencie przeszli do innego. Widziałem, jak jedli tam śniadanie. Przy ścianie została drabina. Zaczęłem po cichutku wspinać się do tych haków. Wszedłem na najwyższy stopień, prawą ręką zacząłem sprawdzać ich powierzchnię. W pewnym momencie noga mi się obsunęła i jeden z nich wbił mi się w dłoń. Zawisłem na niej i tak wisiałem, jak tusza jakiegoś zwierzęcia. Czubek tego haka wyszedł mi z drugiej strony. Nie czułem bólu, ze strachu nie krzychałem i tak wisiałem, aż mi przerwała się ta dłoń i spadłem. Wtedy ta krew i ból... Zaczęłem strasznie krzyczeć i prawdopodobnie straciłem przytomność. Wtedy wyskoczyli malarze i mój ojciec, który był w pobliżu. Jak zobaczył, co się stało, przerzucił mnie przez ramię i biegiem na pogotowie. Miał taki biały trenz. Ja mu go cały oblałem własną krwią. Pamiętam to, bo się obudziłem na jego ramieniu. Momentu zszywania ręki i opatrunku nie pamiętam, ale to mi się bardzo utrwaliło. Teraz, jak widzę haki w sklepach przypomina mi się ta przygoda. Pamiętam jeszcze moją pierwszą w życiu pracę. Ojciec mówił mi zawsze, że w życiu trzeba ciężko pracować na chleb. Kiedy miałem 6 lat, powiedział mi, że będę mu pomagał. Ojciec był mierniczym. Miałem z nim chodzić po terenie, na którym planowano budowę domów i mierzyć ziemię. On miał mierzyć, a ja miałem przenosić te tyczki miernicze tam, gdzie trzeba będzie je ustawić. Wtedy on przez takie urządzenie optyczne miał dokonywać pomiarów, szkicować i nanosić te pomiary na dokumentację budowlaną. Rano obudził mnie i powiedział „Słuchaj to jest odpowiednia pora, żebyśmy poszli do pracy”. Ja, dumny, że będę pracował, maszerowałem z nim w to miejsce. Dał mi te tyczki i tak chodziłem z nimi, gdzie wskazał. Potem było śniadanie, więc jako pracownik siadłem obok ojca i spożywałem posiłek. Byłem niemiłosiernie dumny, że mogę zapracować na własne pieniądze. Ale to trwało dzień czy dwa. Potem mi się to wszystko znudziło, zacząłem narzekać, że mnie nogi boją, że tyczki ciężkie, że chyba zrezygnuję z tej pracy, a ojciec powiedział: „Jak ci się nie podoba ta praca, to cię zwalniam i masz swoją wypłatę. Możesz wydać te pieniądze na swoje potrzeby pod warunkiem, że mi powiesz, co chcesz kupić”. Oczywiście kupiłem jakieś zabaweczki, już nie pamiętam...

Były to cudowne chwile, aż do momentu rozstania z ojcem...

Mama była introligatorką i pracowała w bardzo dużym zakładzie drukarskim jakiegoś wydawnictwa, możliwe, że było to „Ossolineum”. Tam oprawiała książki i była bardzo cenionym pracownikiem.

Przed wojną mieszkaliśmy w małym domku na przedmieściach Lwowa w dzielnicy Zniesienie, koło Fabryki Likierów i Wódek Baczewskiego. Na jej terenie stały olbrzymie cysterny spirytusu, które obserwowałem, jako dziecko idąc do znajomych, których nazwisk już nie pamiętam. Z drugiej strony niedaleko naszego domu była stacja kolejowa Podzamcze.

Ciekawostką, którą zapamiętałem z tego okresu było instalowanie aparatu radiowego przez mojego wujka Władka. Kupił on taki zestaw (wówczas takie sprzedawano) – słuchawki, płytka i przewody. Następnie w ogrodzie za domem wykopał dół (metr, metr pięćdziesiąt), wrzucił na dno zgniecione wiadro, przysypał kilogramem soli i podłączył przewody, a później całość zasypał, a przewód przeprowadził do domu. Następnym elementem była antena – kolejny przewód wyniesiony do góry na długim drągu, którego końcówkę wujek przymocował do framugi okiennej. Zasadnicze radio było w domu i składało się ze słuchawek, kryształu i specjalnej igły dostosowanej do wyszukiwania w tym kryształach nadchodzących fal radiowych. Było to bardzo proste i dziwne urządzenie. Słuchaliśmy z otwartymi ustami dziwiąc się, że z pudełka wydobywa się głos i muzyka.

Mając 5 czy 6 lat, jeszcze przed wybuchem wojny zachorowałem na odrę i zabrano mnie do dziecięcego szpitala zakaźnego. Ogromnie rozpacziałem i tęskniłem za domem. Małymi pacjentami opiekowały się siostry zakonne, które, chcąc im zapewnić jakieś zajęcie, próbowały nauczać różnych pożytecznych umiejętności. W czasie mojego pobytu uczyły cerowania – wycinały w tkaninie dziurki i pokazywały, jak je zaszyć. Dzieci siedzące wokół nich naśladowały ich postępowanie. Tak też nauczyłem się cerować i później wielokrotnie to robiłem i to tak dobrze, że moja „cera” była zazwyczaj trwalsza od skarpetki. Ze szpitala pamiętam jeszcze odwiedziny bliskich, których mogłem zobaczyć tylko przez szybę (dostawałem spazmów z rozpacz, że nie mogę się przytulić) i zapłakaną twarz mamy.

1 września 1939 roku miałem już 7 lat i mama wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do szkoły, która była oddalona od naszego domu o kilkaset metrów. Samego początku nauki zupełnie nie pamiętam. Wiem, że był wielki hałas i harmider i chciałem iść do domu, jak to zwykle zachowuje się małe dziecko w tym wieku. Po przyjeździe ze szkoły odwiedzałem mieszkającego nieopodal kolegę, którego ojciec był policjantem.

## Wybuch wojny

Sam moment wybuchu wojny utrwalił się w mojej pamięci w niecodzienny sposób. Siedziałem na dużej skrzyni na podwórku i obserwowałem lecące od Podzamcza na wschód samoloty. Z jednego z nich oderwał się jakiś duży przedmiot. Była to bomba, która trafiła w tory kolejowe w pobliżu naszego domu. Huk i podmuch były tak olbrzymie, że zrzuciły mnie z tej skrzyni i wylądowałem w kartoflisku. Wystraszony z płaczem pobiegłem do domu, gdzie mama z babcią utulały mnie, bo nie wiedziałem, co się stało.

Któregoś dnia (był to chyba 15 lub 20 września i już nie chodziliśmy do szkoły, bo działania wojenne były na terenie Lwowa) moje opiekunki powiedziały mi, że uciekamy z tego miejsca, bo z pewnością będą nadal bombardować miasto, a my jesteśmy zagrożeni z uwagi na bliskość torów kolejowych i stacji oraz fabryki Baczewskiego. Babcią przeżyła I wojnę światową, trochę poznała, czym to pachnie i bardzo się bała. Wobec tego poszliśmy przez Podzamcze, obok Wysokiego Zamku na Łyczaków, gdzie nasi dalsi krewni lub znajomi o nazwisku Czołakowie mieli ładny parterowy dom z ogrodem i sadem. Mieszkaliśmy pewien czas u nich, bo tam było bezpieczniej. Przebywaliśmy tam do 22 września.

Kiedy wojna w naszym mieście się skończyła, postanowiliśmy wrócić do domu. Ruszyliśmy więc tą samą drogą w odwrotnym kierunku. W czasie tej drogi widziałem wydarzenie, którego nie zapomnę do końca życia. Widzieliśmy, jak Rosjanie, którzy wyszli z czołgów oraz piechota rosyjska okrążyli kolumnę polskich żołnierzy, którzy się poddali i rozbierali ich. Żołnierze rosyjscy byli bardzo dziwnie ubrani. Na głowie nosili takie czapki ze szpicami – później dowiedziałem się, że były to budionnówki. Mieli długie aż do kostek szynele, które od dołu nie były obrębione, tylko wisiały tam takie strąki nitek. Przedziwnie to wyglądało, dziwiłem się przeokropnie, że wojsko jest tak niechlujnie ubrane. W dodatku większość z nich nosiła karabiny na sznurku. Zabierali polskim oficerom broń krótką, szable i rzucali je na stertę na trawniku. Zwykłym żołnierzom zabierali karabiny, hełmy oraz pasy i rzucali je na drugą stertę. Potem rozdzielali ich – zwykłych żołnierzy i podoficerów kierowali na jedną stronę, a podchorążych i oficerów. Żołnierzy puszczali wolno, zachęcając ich krzykiem, by uciekali i wracali do domu, natomiast oficerów grupowali czwórkami i prowadzili w stronę dworca kolejowego<sup>1</sup>. Karabiny, które zostały na trawniku, układali jeden obok drugiego na bruku ulicy i kilkakrotnie przejeżdżali po nich gąsienicami czołgów. Nie do końca rozumiałem, co się dzieje i chciałem mamie powiedzieć: „Zatrzymajmy się, wezmę sobie jeden karabin do zabawy, bo przecież oni to wszystko zniszczą i połamią”. Ale bardzo szybko musieliśmy oddalić się od tego miejsca, by nie wejść w konflikt z żołnierzami.

Na początku okupacji zachorowałem na dyfteryt (błonicę). Choroba była ciężka, a w tym czasie było bardzo ciężko zdobyć leki. Miałem tak zaatakowane gardło, że nie mogłem przełknąć nawet wody i dusiłem się. Moja babcia uratowała mnie sposobem znachorek. Zrobiła napar z mleka, miodu, sadzy z komina i jakiegoś jeszcze składnika. Tym płukałem gardło. I pomogło – wrzody popękały i przez kilka dni plućem ropą, po czym zacząłem zdrowieć.

Znowu poszedłem do szkoły, która już była inna. Władza radziecka bardzo szybko opanowała miasto, obsadziła wszystkie urzędy i w szkole również zapanował rygor. Jakoś jednak dotrwałem do końca pierwszej klasy. Nie wiem, czy dostałem świadectwo, ale mam do tej pory zaświadczenie o jej ukończeniu. Dziwna sprawa, ale na zaświadczeniu jest pieczęć niemiecka, czyli Niemcy już w czerwcu byli we Lwowie. Tymczasem w mieście zapanowały nowe obyczaje. Widziałem, jak pod fabrykę wódek podjeżdżały samochody z żołnierzami radzieckimi, którzy wspinali się na ogromne kadzie i wiadrami czerpali z nich spirytus. Działy się tam rzeczy nie do opisanego. Bywało, że ten, który czerpał, odurzał się oparami, wpadał i tonął w alkoholu. Potem, już po wyczerpaniu spirytusu, wyciągali zwłoki. To wszystko szokowało nie tylko mnie, małego chłopca, ale i ludność Lwowa, która ze zgorzaniem obserwowała podobne zajścia.

Wracając do sprawy mojego kolegi, syna policjanta. Któregoś dnia pod ich dom podjechał ciężarowy samochód i tego policjanta wraz z całą rodziną wywieziono w nieznanym kierunku. Nie wiedziałem, co się dzieje, pytałem tego kolegę, dokąd wyjeżdża. Powiedział, że kazali im się wyprowadzić i nie wie, dokąd jadą. Nie wiem, jakie były jego dalsze losy, ale mogę się domyślać, że niewesołe.

<sup>1</sup> Prawdopodobnie wywożono ich do Kozielska lub Ostaszkowa.

## Przeprowadzka

Ze względu na to, że położenie naszego domu było bardzo niebezpieczne, mój wujek Władek postanowił nas zabrać tam, gdzie mieszkał – na ulicę Gródecką. Była to jedna z głównych ulic miasta, prowadziła do centrum z jednej strony z lotniska, z drugiej z Dworca Głównego. Nie było tam żadnego przemysłu ani innych obiektów, które mogłyby mieć znaczenie strategiczne i być bombardowane. Uważaliśmy, że można tam bezpiecznie mieszkać. Władek znalazł nam służbówkę – jednopokojowe mieszkanie na parterze kamienicy, gdzie mieszkał na ulicy Bartosza Głowackiego pod numerem 8. On miał tam pokój z kuchnią z jednej strony, z drugiej zwolniła się właśnie służbówka. Tam postanowiliśmy (nie ja, tylko mama z babcią, bo byłem zbyt mały, by o czymkolwiek decydować) zamieszkać. Samego momentu przeprowadzki nie pamiętam. W każdym razie przeprowadziliśmy się tam. Nad nami mieszkał NKWD-zista. Wiem tylko, że chodziłem do szkoły. To była druga czy trzecia klasa i zapisali mnie na siłę do pionierów na wzór rosyjski. Miałem czerwoną chustkę na szyi, taką skuwkę i byłem pionierem. Trwało to dwa lub trzy miesiące. I jak wracałem do domu z tą czerwoną chustą, spotykałem czasem na schodach tego sąsiada NKWD-zistę. Chwalił mnie zawsze, że jestem pionierski człowiek, taki ich człowiek i dawał mi cukierki. Wiem, że to był NKWD-zista, bo miał czapkę z niebieskim otokiem. Wszyscy Rosjanie mieli inne, a NKWD miało niebieskie. Przypomniało mi się to dopiero teraz, kiedy oglądałem „Katyń” Wajdy. Tam, oprawcy mieli takie same czapki.

## Wojna rosyjsko-niemiecka w 1941 roku

W czerwcu 1941 roku Niemcy wydali wojnę Rosjanom i ci uciekli ze Lwowa po cichu. Nie było jakichś większych walk, zdarzały się tylko niewielkie potyczki. Ten moment nie bardzo sobie kojarzę czasowo. Ogólnie te dwa lata – od 1939 do 1941 roku – nie miały intensywnego wpływu na mój sposób myślenia. Chodziłem do szkoły nie bardzo się przykładając, nikt nie mógł mnie upilnować, bo interesowało mnie życie ulicy, jakieś zabawy dziecięce czy sportowe na naszym boisku szkolnym. Aż przyszedł rok, w którym zapanował terror niemiecki, co wpłynęło bardzo intensywnie na moje życie.

Zacząłem obserwować życie ulicy – jak odbywa się transport, jak z dworca ciężarówkami wożą węgiel, jak chłopcy skaczą, zrzucają na ulicę ten węgiel i później go zbierają. Zacząłem też intensywnie obserwować to życie handlowe.

Na przełomie 1942 i 1943 roku była straszna zima – okropnie śnieżna i okropnie mroźna (temperatura w granicach -40 stopni, coś niesamowitego). Wcześniej, zanim ta zima nastąpiła, w lecie – w sierpniu albo wrześniu był taki okres, krótki, ale dosyć intensywny, przewożenia przez Niemców z frontu rannych żołnierzy.

Lwów, który w tym okresie nazywał się z niemiecka Lemberg, leżał na linii Stalingrad-Kraków. I spod Stalingradu przywożono rannych żołnierzy. Było ich strasznie dużo. Przylatywali samolotem na lotnisko, a stamtąd sanitarkami i samochodami ciężarowymi przewożono ich do centrum. Tych, którzy dotarli do miasta transportem kolejowym, przewożono do szpitali z Dworca Głównego tramwajami, a mianowicie wyrzucili ze wszystkich tramwajów siedzenia (były to ławki drewniane) i w tych miejscach wmontowano uchwyty na nosze. Tych ciężiej rannych na noszach przemocowywano do tych uchwytów i przewożono do centrum – do koszar, szpitali, uczelni, szkół, większych przedwojennych urzędów, które zamieniono w tymczasowe szpitale. Wszędzie widziano tych rannych. No, myśmy się cieszyli, że Niemcy dostają taki straszny łomot tam, na wschodzie. Na Politechnice Lwowskiej i na uniwersytecie urządzono potężne szpitale. Ponieważ politechnika była blisko mojego miejsca zamieszkania, widziałem także, jak ich transportowano do środka, bo przecież dla takiego małego chłopca wszystko to było bardzo interesujące. Byłem takim świadkiem tych różnych momentów życia wojennego.

## Głód

Na jesieni 1942 r. moja babcia pojechała do Rzeszowa, do swojego najstarszego syna Piotrka, który wspólnie z żoną prowadził księgarnię i nieźle im się powodziło w tym czasie. Już nie pamiętam, w jakim celu tam pojechała – chyba chciała im pomóc, bo mieli tam dwoje dzieci, Zdziśka i Krystynę, którzy chodzili do szkoły średniej. Ja zostałem z mamą, a była to już jesień i to dosyć nieprzyjemna. Mama już nie pracowała, nie wiem dlaczego<sup>2</sup>? Może ze względu na chorobę, a może w ogóle nie było tej pracy. Faktem jest, że już na początku zimy były tak olbrzymie mrozy i śniegi, że nie można się było dostać do Lwowa i babcia napisała, że nie przyjedzie na święta (czy jeszcze przed świętami), bo wszystko jest zawiane i środki transportu w zasadzie nie funkcjonują.

<sup>2</sup> Niemcy zaraz po wkroczeniu do Lwowa zamknęli „Ossolineum”.

Tej zimy pozostaliśmy z mamą zupełnie bez środków do życia. Któregoś razu, jak już nie było co jeść i nie jedliśmy od dwóch dni zacząłem marudzić, że jestem głodny. Mama nie miała mi co dać i wreszcie powiedziała mi: „Idź na śmietnik. Ludzie tam wyrzucają różne produkty spożywcze. Może coś znajdziesz, to byśmy sobie zrobili jakiś posiłek”. Poszedłem tam, ale nie wiedziałem, czego mam szukać w tych śmieciach. Widziałem obierki ziemniaczane, więc nabierałem ich trochę do gazety i przyniosłem do domu. Powiedziałem mamie, że tam są same śmierdzące śmieci, ale ona się ucieszyła z tych obierek. Dobrze je umyła, starła na tarce i na blacie kuchni zrobiła (nie wiem, w jaki sposób) cztery placki. Mnie dała trzy, a sama zjadła jeden. Takie to było ohydne, takie gorzkie, ale głodny człowiek zje wszystko.

Na drugi dzień rano mama mówi do mnie: „No to idź jeszcze, może coś znajdziesz, może chociaż trochę tych obierek”. No to wlałem do tego śmietnika, ale był tak potężny mróz, że wszystko zamarzło. Widziałem trochę tych obierek, ale nie mogłem ich obdłubać, nie zdołałem wyszarpać z tego lodu. Z płaczem wróciłem do domu i powiedziałem: „Mamo, ja sobie pokaleczyłem palce, zobacz, ja nie mogę tych obierek wyciągnąć i nie mamy nic”. Mama mnie przytuliła, popłakaliśmy trochę i powiedziała: „Wiesz, może się połóż i postaraj zasnąć. We śnie nie będziesz czuł tego głodu”. No więc położyłem się i usnąłem.

Po latach moja babcia opowiedziała mi dalszy ciąg tej historii – co się stało, kiedy już usnąłem. Mama jej powiedziała w tajemnicy, co chciała zrobić. Mianowicie jak spałem założyła mi ręcznik na szyję. Przedtem zdjęła lampę i założyła na hak pętlę. Mnie chciała udusić we śnie ręcznikiem, a potem sama się powiesić. Z płaczem pochylila się nade mną, chwyciła oba końce ręcznika i już chciała je zacisnąć. A ja w tym momencie się uśmiechnąłem przez sen. I ona z płaczem i rozpaczą rzuciła się na podłogę i już przestała o tym myśleć. Postanowiła iść na ulicę zebrać.

Wyszła następnego dnia rano, zostawiając mnie śpiącego. Stała pod murem na rogu Gródeckiej i Bartosza Głowackiego, obok sklepu „Bata” i prosiła przechodzących ludzi, żeby jej cokolwiek ktoś dał. Jak już wspominałem, była ułonna, po chorobie Heinego-Mediny, miała krótszą nogę i but ortopedyczny. Przechodził jakiś żołnierz, spojrzął na to kalectwo, na wymizerowanie, na lachy, w jakie była ubrana, zlitował się i dał jej paczkę papierosów. I te papierosy zarzutowały na naszym dalszym życiu.

## Przełom

Po pewnym czasie przyszła do domu (ja się już obudziłem) i powiedziała: „Jurciu, idź na ulicę i sprzedaj ta papierosy. Tam są zajmujący się handlem chłopcy i może z nimi uda ci się je sprzedać i może wtedy cokolwiek kupimy do jedzenia, kilo kartofli, czy coś takiego”. Ubrałem się w te szmaty, jakie miałem, mama mi pomogła się opatulić, dała szalik, bo mróz był niemiłosierny. Wyszedłem na ulicę bez rękawiczek (bo nie miałem) i tylko ręce miałem w kieszeniach. Dzieci, pokazane na filmie o getcie przypomniały mi ten moment i jak ja to przeżywałem – byłem wtedy do nich podobny.

Wyszedłem na ulicę, a tam już inni chłopcy opanowali ten teren. Bo trzeba powiedzieć, że miasto w tym czasie żyło rytmem handlowym – począwszy od takich ulicznych sprzedawców papierosów, gazet i innych rzeczy, poprzez hurtowników, skończywszy na handlarzach bronią i amunicją. To wszystko było zorganizowane i rytmicznie się kręciło.

Wyszedłem więc, stanąłem pod murem i wyjąłem te papierosy. Jak to zobaczyli chłopcy, których to był rewir, zaczęli mnie przeganiać. Ja płacę, proszę, żeby mnie zostawili w spokoju. No i był tam szef tego gangu, Wacek (później się dowiedziałem, że tak miał na imię), podszedł do mnie i zapytał, jak się nazywam. Odpowiedziałem, że Jurek. A on na to: „Słuchaj, Jurek. Ja mam tutaj sześciu chłopaków. Jeden z nich się ulotnił – może wyjechał, może coś się z nim stało. Mógłbyś zająć jego miejsce. Ale najpierw musimy cię sprawdzić”. A sprawdzenie polegało na tym, że po tym lodzie i kopnym śniegu musiałem go przenieść na barana kilkadziesiąt metrów. Byłem wymizerowany, głodny, słaby, a ten chłopak usiadł mi na plecach i ja go tak dźwigałem płacząc i zapadając się w śnieg. Kiedy już przeszedłem na czworaka ten wyznaczony odcinek, padłem i nie mogłem się podnieść. Szef zawołał tych chłopaków, podnieśli mnie, posadzili na schodkach w bramie. Wysłał jednego po chleb. Przynieśli kawałek i dali mi. To było coś niesamowitego. Jaka wspaniała i pyszna rzecz jeść chleb!

No i w ten sposób przyjęto mnie do grona handlarzy. Dostałem instruktarz, jak te papierosy sprzedać i gdzie kupić następne. Jak im powiedziałem, że mama kazała mi po sprzedaży tej paczki przynieść do domu pieniądze, zabronili mi. „Żadnych pieniędzy do domu nie masz prawa nieść. Jak sprzedasz tą paczkę, kupisz następną, i następną, i te kolejno będziesz sprzedawał. Dopiero jak się skończy dzień pracy i będzie się zbliżała godzina policyjna (była od 22 do 5 rano), pójdziesz z pieniędzmi do domu”.

Tak więc sprzedawałem tą paczkę, poszliśmy do hurtownika, gdzie kupiłem następną i zacząłem rozwijać swój handel. Poszedłem do domu, wcześniej zaopatrzywszy się w chleb, jakieś ziemniaki, marchew. Udało mi się nawet zdobyć kawałek słoniny!

Tak więc cały dzień nie było mnie w domu i mama była bardzo wystraszona, nie wiedziała, gdzie mnie szukać. Poza tym prawdę mówiąc z tego głodu nie miała nawet siły ruszyć się z domu. Dosyć na tym, że

kiedy wreszcie wróciłem i opowiedziałem jej, co się zdarzyło, popłakaliśmy się z powrotem, tym razem ze szczęścia. Mama zrobiła prawdziwą ucztę i po raz pierwszy od długiego czasu poszliśmy spać syci.

## Życie na ulicy

Na drugi dzień rano szybciotko wstałem i nawet się nie myjąc włożyłem do kieszeni pajdkę chleba i poleciałem do chłopaków. No, i z nimi zaczęliśmy omawiać plan działania na bieżący dzień. Już w pierwszym okresie mojej pracy na ulicy koledzy mówili mi, że handel papierosami to rzecz zastępcza. Najlepiej się wychodziło na handlu z Niemcami, ale w tym celu trzeba się było nauczyć chociażby podstawowych zwrotów z języka niemieckiego. Posadzili mnie na klatce schodowej pobliskiej kamienicy i zaczęli wbijać do głowy potrzebne zwroty np. „Proszę pana, czy ma pan coś do sprzedania?” Wtedy Niemiec odpowiadał „Tak. Chleb, mydło, trochę jabłek”. Opanowałem takie podstawowe historie i zaczęliśmy na ulicy zaczepiać Niemców. Udawało się czasami dosyć dobrze, szczególnie z pijanymi żołnierzami. Taki to już nie panował nad sobą, litował się nad nędzą małego chłopaczka i czasem nawet pieniędzy nie brali, a to rzucił paczkę papierosów, a to wyjął z plecaka jakiś ręcznik i mydło, pastę do butów czy coś takiego. Dosyć na tym, że te rzeczy się sprzedawało i były zyski.

Drugiego dnia mojej pracy musiałem „wkupić się” do grupy i postawić chłopakom ciastka w cukierni. Poszliśmy tam pod koniec dnia. A tam przepyszne zapachy, apetyczne widoki... To wszystko nas bardzo podnieciło i z mówiłem całą blachę do stolika. Właściciel nas ostrzegł, żebyśmy nie jedli wszystkiego na raz i łapczywie, żebyśmy wzięli sobie część na później, bo może nam zaszkodzić. Ale nie słuchaliśmy – pałaszowaliśmy niemiłosiernie, po prostu wchłanialiśmy te ciastka. Nic dziwnego – takie delicje jedliśmy po raz pierwszy od trzech lat. Niestety – po jakimś czasie, już po powrocie do domu nastąpiły takie reperkusje żołądkowe, że ledwie przeżyłem całą tę eskapadę.

Nasz szef, ten Wacek, był niesamowitym poliglotą. Znajomości języków obcych nabierał w kinie, do którego chodziliśmy dosyć często, bo przecież my, chłopcy z branży handlowej, niby pracowaliśmy, ale mieliśmy jeszcze ciągoty młodzieńcze, wręcz dziecinne. Chcieliśmy się też pobawić, pożyć, a do tego kino było dobre. Chodziliśmy więc na przedwojenne filmy polskie, ale też na hiszpańskie, francuskie i inne, bo przecież we Lwowie stacjonowało dużo wojska z innych krajów. Byli Hiszpanie, Francuzi, Belgowie, Włosi (ich było co niemiara w tych pięknych kapeluszach z piórami). Było też dużo Rumunów i Węgrów – zwłaszcza tych ostatnich często widziało się na ulicach. Trzeba się więc było w sprawach naszego handlu porozumiewać w wielu językach.

Właśnie Wacek bardzo szybko chwycił elementy języków różnych narodów. Z różnych zagranicznych filmów oglądanych w kinie „Roxy” przyswajał takie podstawowe wydarzenia typu „dzień dobry”, „co słychać?” Nie notował, tylko słuchał (oprócz wersji oryginalnej, był także lektor mówiący po polsku) i bardzo dobrze mu to szło.

Kiedyś niesamowicie mnie nabrał w sprawach językowych. Jak już mówiłem, we Lwowie było bardzo wielu żołnierzy węgierskich, więc Wacka zapytałem, jak do nich zagadać. On mnie nauczył wyrażenia, które do dzisiaj pamiętam, ale nie będę powtarzał, bo to tak strasznie wulgarnie przekleństwo, że włos się na głowie jeży. Kiedy więc zobaczyłem idących po ulicy dwóch Węgrów, podszedłem i wypowiedziałem te słowa. Jeden aż zbladł. Złapał mnie za kołnierz, myślałem, że mnie udusi. A drugi zaczął się niemiłosiernie śmiać, wręcz rechotać. Tego pierwszego omal diabli nie wzięli, że taki gówniarz powiedział mu coś takiego. A stojące za rogiem moje chłopaki pękali ze śmiechu i czekali, jak się sprawy potoczą. Ale Węgier, który miał większe poczucie humoru „udobruchał” tego drugiego i obaj zaczęli rechotać i łamaną polszczyzną pytać, skąd ja czegoś takiego się nauczyłem. Ale nie wiedziałem, co dokładnie odpowiedzieć, bo po węgiersku znałem tylko te słowa. Dosyć na tym, że dostałem od nich jakiś prezent i powiedzieli, abym już nigdy do nikogo w taki sposób nie mówił.

Z seansu w kinie „Roxy” pamiętam taki wspaniały film „Złodziej z Bagdadu”, to było coś przepięknego.

Związany jest też z nim inny epizod. Kino znajdowało się w dzielnicy kolejarzy obok pięknego parku. W okolicy mieszkał niemiecki kolejarz, który przywiózł sobie ze wsi barana i wypasał go w tym parku. Zakładał mu na rogi tabliczkę, która zasłaniała mu też oczy, tak, że widział tylko trawę, którą gryzł. Nie wiem dlaczego nie mógł patrzeć przed siebie, bo dostawał szału. Myśmy o tym wiedzieli. Przed seansem była zazwyczaj przed kasą duża kolejka. Żeby w niej nie stać, „zatrudniliśmy” tego barana. Podchodziliśmy do niego od tyłu i najpierw chwytailiśmy go za ogon, a później podnosiliśmy patykiem tabliczkę i puszczaliśmy wolno. Baran jakby dostawał amoku. Stawał, tupał przednimi kopytkami, obserwował tych, co przy kasie i pędził w tamtym kierunku. My krzyczeliśmy „uciekać, baran!”, ludzie się rozbiegali, a my do kasy i do kina. Nie wiem, co się z tym zwierzęciem później stało – ukradli go czy zabili, ale to były takie zabawne epizody z tamtego okresu.

Inne nasz przygody są związane z „pojazdami”. Zaczęliśmy sobie konstruować hulajnogi, jak to dzieci. Zdobyliśmy kilka desek, dwa łożyska kulkowe, stary pas skórzany, wystrugaliśmy z twardego drewna trzpienie. Robiliśmy te hulajnogi w ten sposób, że wbijaliśmy trzpienie do łożysk i jedno

przytwierdzaliśmy z tyłu pierwszej deski, drugie przymocowaliśmy do pozostałej. Połączenie tej, na której się stało, z tą, którą się kierowało, wykonywaliśmy za pomocą twardego pasa, którego część przybijaliśmy do pierwszej, a część do drugiej. Co to była za zabawa! Szaleliśmy po ulicach, ale skoro nauczyliśmy się utrzymywać równowagę na hulajnodze, zapragnęliśmy rowerów. To była jednak trudna sprawa. Co prawda była wypożyczalnia rowerów na godziny i braliśmy je na jedną lub dwie, ale były one duże, przeznaczone dla dorosłych, a nie takich małych chłopców, jak my. Jeździliśmy z jedną nogą pod ramą roweru.

Dosyć dziwna rozrywka była związana z tramwajami. W lecie najczęściej chodziliśmy całymi dniami boso. Dla mnie bywało to przykre, bo miałem wrażliwe stopy, a na ulicy leżało dużo rozbitego szkła, niedopałki itd., w związku z czym często miałem je pokaleczone lub poparzone. Kiedy już zarobiłem trochę pieniędzy, kupiłem sobie buty, takie drewniaki, jakie wszyscy nosili w tym czasie. Ponieważ często w oczekiwaniu na klienta nudziło nam się, wpadliśmy na pomysł, jak te drewniaki wykorzystać. Ulicą Gródecką jeździły tramwaje, to przy zjeździe w dół podbiegaliśmy do zderzaka wagonu, mocno go łapaliśmy, kucaliśmy i tramwaj nas ciągnął po tych kocich łbach. Cieszył nas ogromny hurgot, jaki się wtedy wydobywał, ale po paru dniach drewniane zelówki były zdarte i nie nadawały się do dalszego użytkowania. Zbyt drogo nas kosztowała ta zabawa, więc po pewnym czasie z niej zrezygnowaliśmy.

Inna była zabawa zimowa. Zdobyliśmy gdzieś taką dużą miednicę i chodziliśmy z nią na górę świętego Jura, gdzie była przepiękna cerkiew. Kolejno zjeżdżaliśmy z tej góry w miednicy – były podskoki, przewroty i inne atrakcje.

Warto zaznaczyć, że za okupacji niemieckiej nie chodziłem do szkoły. W naszej byli zakwaterowani żołnierze niemieccy. Chodziłem tam pod budynek, w którym urządzono jakieś pomieszczenia dla rodzin tych żołnierzy – były tam kobiety i dzieci, a wśród nich chłopcy w moim wieku. Wielu z nich było ubranych w mundurki Hitlerjugend. Przez sztachety ogrodzenia widziałem, jak na naszym boisku grali w piłkę nożną. Stałem jak zahipnotyzowany, że można tak beztrudnie sobie kopać tę piłkę. To była jakby chęć uczestniczenia w tym ich normalnym życiu. Zauważyli mnie i przepędzili stamtąd. Byłem oczywiście wściekły.

## Poznawanie miasta

Od najmłodszych lat interesowała mnie historia mojego miasta i związane z nią miejsca. Wiedziała, że we Lwowie jest rotunda, a w niej „Panorama Raclawicka”. Niemcy pozwalali na jej zwiedzanie, bo chcieli pokazać, jak Rosjanie dostali od nas porządne lanie. Ponieważ moja mama była wielką polską patriotką, starała się przekazać mi wiele historycznych wiadomości. Było to ważne, bo przecież nie chodziłem do szkoły, więc chciała mi wpoić jakąś wiedzę wartości. Stąd wiedziałem, że panorama ma związek z Insurekcją Kościuszkowską. Pojechałem do Parku Stryjskiego, kupiłem bilet i wszedłem do tej rotundy. Wchodziło się z dołu pochylnią do góry. Pośrodku był otoczony barierkami podest i stamtąd zobaczyłem coś pięknego – cała panorama, bitwa, konie, wybuchy, kosynierzy – to zrobiło na mnie wielkie wrażenie. Ale najbardziej zaskoczyło mnie coś innego. Jak się bliżej przyjrzałem szczegółom, zobaczyłem umieszczoną u dołu obrazu połowę drabiniastego chłopskiego wozu. Przed nim był podest wyłożony sztuczną trawą, a na niej stała druga połowa tego wozu, już nie namalowana, a rzeczywista. Tak się dziwiłem, jacy zdolni pomysłowi ludzie byli twórcami tego dzieła. Później nigdy nie widziałem tej panoramy, która jest we Wrocławiu, gdzie została przeniesiona ze Lwowa.

Robiłem też wycieczki do innych dzielnic, na przykład na Zamarstynów, gdzie był basen, a po drugiej stronie, przy ulicy Janowskiej obóz jeniecki, gdzie byli więzieni jeńcy rosyjscy. Widok, jak oni za tymi drutami kolczastymi leżeli w tym błocie i umierali z głodu był przeokropny. Dalej było obóz z Żydami przygotowywanymi do wywózki, a potem jeszcze getto lwowskie (w takim trójkącie między Krakowską a Żółkiewską). Przebywali tam Żydzi spędzeni spod Lwowa i z samego miasta.

## Zmiana warty

Po jakimś czasie w naszej grupie nastąpiły zmiany, stało się to w naturalny sposób. Niektórzy chłopcy zostali gdzieś wywiezieni wraz z rodzicami, niektórzy się wyprowadzili. I mój Wacek, nasz szef też odszedł. Ostatniego dnia zawołał nas wszystkich i oświadczył, że oddaje mi przywództwo, że teraz ja będę o wszystkim decydował. Następnego dnia, dumny z tego, że jestem teraz szefem, zwołałem wszystkich i oświadczyłem, że zmieniamy sposób funkcjonowania. Będę decydował o najważniejszych rzeczach, ale nie chcę ponosić odpowiedzialności za każdego z osobna. Musimy się ze sobą kontaktować i sobie pomagać, ale nie narzucać swojej woli innym, bo to każdego ograniczało.

Oczywiście najważniejsza rzeczą było nadal zdobywanie pieniędzy. Jak już wcześniej pisałem, mieliśmy je z handlu papierosami i innymi produktami zdobywanymi od żołnierzy różnych nacji. Część

zysków z tego handlu odkładaliśmy do dużego pudełka po herbacie na wypadek nieprzewidzianych potrzeb. Te potrzeby to była na przykład choroba kogoś z naszych (takie rzeczy się zdarzały). Nie mógł wyjść wtedy na ulicę i pracować, a w domu zaczynała piszczeć bieda. Robiliśmy więc sobie coś w rodzaju zasiłku, żeby przetrwać okres niezdolności do pracy i w tym czasie po ludzku żyć.

Jeszcze o handlu papierosami. We Lwowie była ich wytwórnia jeszcze sprzed wojny. Niemcy wprowadzili do niej swój zarząd i kartki na papierosy (tak, jak na chleb itd.). Jednak te ilości nie wystarczały ludziom palącym i musieli się zaopatrywać gdzie indziej. My mieliśmy dostęp do pracowników tej fabryki. Oni w ramach deputatu otrzymywali niewielkie ilości papierosów, ale nasz naród jest przedsiębiorczy, więc wynosili pod ubraniami większe ilości i sprzedawali takim jak my. W fabryce były produkowane papierosy o przedwojennych nazwach np. „Machorkowe”, „Mewa”, „Zefiry” i inne. Kupowaliśmy zapakowane w gazetę paczuszki po 100 lub 200 sztuk i dzieliśmy je na mniejsze po 5, 10 i sprzedawaliśmy na ulicy zachwalając swój towar. Zachowywaliśmy się, jak cinkciarze w latach 70-tych lub 80-tych. Byliśmy bardzo szybcy i trudno nas było schwytać. Na takich małych, zwinnych chłopaczków władze niemieckie nie miały sposobu. Polowali na nas nie tylko Niemcy, ale także policjanci. Nie byli to jednak nasi „granatowi” przedwojenni. Ci albo zostali rozstrzelani, albo trafili już za pierwszej okupacji sowieckiej do łagrów. Niemcy zorganizowali sobie policję spośród Ukraińców. Byli umundurowani na czarno, mieli czapki podobne do narciarskich i mnóstwo odznaczeń na tych mundurach. Byli zniechęceni przez nas, bo niesamowicie gnębili Polaków. Gradacja była taka, że najpierw bezwzględnie prześladowali Żydów, potem Polaków, a na postęпки swoich przymykali oko lub tuszowali ich zbrodnie.

Wracając do sprawy. We Lwowie była cała masa tych trudniących się drobnym handlem chłopaków, którzy dorabiali, żeby jakoś utrzymać siebie, a nierzadko też swoje rodziny. Dobry zarobek był na papierosach niemieckich. Były one wspaniałej jakości, jak np. „Juno” pakowane po 10 lub 20 sztuk w twarde pudełeczko z napisem pośrodku przypominające amerykańskie. Najtańsze były z kolei papierosy robione samodzielnie przez ludzi, którzy kupowali tytoń, gilzy i za pomocą specjalnej maszyny nabijali tytoń do gilzy.

Wprowadziłem też nowe zasady porozumiewania się i bezpieczeństwa. Przede wszystkim w zasadzie nie znaliśmy swoich prawdziwych imion. Chłopaki wiedzieli, że ja jestem Jurek, ale oni mieli zmyśloną imioną, gdyby któryś wpadł, to by drugiego nie wsypał, bo by powiedział, że to Franek, a Franek tak naprawdę to był Zdzisiek albo Jarek. Nikt z nas nie wiedział, gdzie kto mieszka. Tylko mój najlepszy przyjaciel z grupy – Roman Jelinek, który mieszkał dwie ulice dalej znał mój adres (spotkałem go później w Gdańsku, ale to inna opowieść). Z tymi chłopakami byłem bardzo zżyty. To były takie sytuacje, które nie zdarzają się w dzisiejszych czasach.

## Moja pierwsza komunia

Mama i babcia były bardzo religijne i starały się wychować mnie w tym duchu, ale ich wpływ był bardzo ograniczony, bo tak naprawdę wychowywała mnie ulica. Ale, że miałem z nimi bardzo silny kontakt emocjonalny, to żeby nie robić im przykrości w 1944 roku, kiedy miałem 12 lat zgodziłem się pójść do pierwszej komunii świętej. Poszedłem więc do kościoła św. Elżbiety (był to nasz kościół parafialny) porozmawiać o tym z księdzem. Ten pytał mnie o to, co porabiam. Rozmawialiśmy jak dorośli ludzie, bo po przeżyciach wojennych niewiele było we mnie z dziecka. Powiedziałem mu wszystko łącznie z tym, że nie bardzo mam ochotę na przystąpienie do tego sakramentu. Stwierdził, że to rozumie, ale trzeba spełnić ten chrześcijański obowiązek chociażby dlatego, by nie robić przykrości mamie. Dał mi wszystkie ulgi, nie musiałem chodzić na żadne przygotowania i nauki (przygotować mnie miała mama), miałem przyjść tylko do spowiedzi. Wiedziałem, że nie będę miał życia na ulicy, jak chłopaki zobaczą mnie w mundurku komunijnym, więc wszystko miało się odbyć w tajemnicy.

Kiedy opowiedziałem o tej rozmowie mamie, bardzo się ucieszyła. Nie wiem jak zorganizowała dla mnie ten nieszczęsny mundurek, ale pewnej majowej niedzieli 1944 roku wyruszyłem do kościoła. Okropnie się bałem, że w tym stroju zobaczy mnie któryś z chłopaków, więc wyszedłem z domu wczesnym rankiem licząc na to, że poczekam w kościele. Pech chciał, że na naszej ulicy rozkopano wtedy chodnik, bo kładli jakieś przewody czy rury i na dodatek tego dnia padał deszcz, więc wszystko było pokryte mokrą gliną. Na dodatek wychodząc z domu spotkałem kolegę, który widząc mnie złapał się za brzuch i zaczął kpić, że wyglądam jak cyrkowiec. Wziąłem go za kołnierz, zawlokłem do bramy i powiedziałem, że jeżeli nie przestanie, skuję mu buźkę. Potraktował to poważnie, bo chociaż byłem fizycznie słaby, to żyjąc na ulicy nauczyłem się różnych sposobów i chwytów pozwalających pokonać silniejszego przeciwnika. Doszliśmy więc do porozumienia, a on stwierdził, że ma w bramie schowany koniak, więc zanim pójde do kościoła, powinienem lyknać go dla kurazu. Pomyślałem, że jeden lyk mi nie zaszkodzi. Postawiłem więc świecę koło drzwi i siedliśmy na schodach, bo miałem jeszcze sporo czasu. Ponieważ jednak byłem na czczo i piłem alkohol pierwszy raz, to natychmiast mnie zamroczyło i jak tylko



wyszedłem na ulicę, natychmiast wpadłem do tego rowu. Kolega mnie wyciągnął, ale mój kremowy mundurek był cały utyłany w glinie. Poszedłem więc do domu. Kiedy mama z babcią zobaczyły mnie i poczuły alkohol, zaczął się lament. Rozebrały mnie, umyły i poszedłem spać, a mama pobiegła do kościoła, gdzie czekały już przygotowane do komunii dzieci i zdenerwowany ksiądz. Mama opowiedziała mu, co się stało, a on przełożył moją uroczystość na następną niedzielę. Wtedy już bardzo się pilnowałem, bo miałem wyrzuty sumienia, że narobiłem tyle przykrości mamie i babci. Była prześliczna pogoda, taki piękny i radosny dzień. Poszedłem do kościoła, przyjąłem tę komunię i dostałem jakiś medalik. Mama zaprowadziła mnie do fotografa, przygotowała uroczysty obiad i tego dnia nie poszedłem już handlować (zazwyczaj pracowaliśmy także w niedzielę). Pojechaliśmy na Wysoki Zamek, oprowadzałem mamę po miejscach, gdzie bywałem, wstąpiliśmy do cukierni i tak skończył się dzień mojej komunii. Zdjęcie mam do tej pory. Wyglądam na nim jak aniołek i jak na nie patrzę, to myślę o tym, jak fizjonomia może dać fałszywe świadectwo o człowieku.

## Epizod z domem publicznym

Przez jakiś czas dochód mieliśmy także z domu publicznego. Na ulicy Bartosza Głowackiego, na parterze pod numerem 22 funkcjonował taki dom – 6 czy 8 panienek, które na ulicy zaczepiały Niemców i ich tam prowadziły w wiadomym celu. Nad tym wszystkim pieczę miała Pani Wanda – potężna, ciągle rozczochna kobieta. Myśmy ją różnie przezywali – nie będę tego powtarzał, ponieważ były to takie uliczne przezwiska. Nienawidziła nas bardzo.

Któregoś dnia doszedłem do wniosku, że skoro ten przybytek działa na naszym terenie to jako władcy rejonu, możemy czerpać z niego zyski. Wobec tego udałem się do pani Wandy z dosyć oficjalną wizytą i oznajmiłem jej, że z dniem dzisiejszym ma ona nam zacząć przekazywać tygodniowo 5 czy 10 procent od swojego zysku (nie pamiętam dokładnej sumy). Jeżeli odmówi, zrobimy wszystko, żeby jej interes upadł. Ona mnie wyśmiała i pogoniła miotłą. Wkurzyłem się, zebrałem chłopaków i powiedziałem, że skoro ona nie chce iść na ugodę, to przystępujemy do akcji. Polegała ona na tym, że wychodzące na ulicę dziewczyny były bite po łydkach różgami. Podbiegaliśmy tyłem do którejś z nich i waliliśmy po łydkach bez litości. Ona w krzyk i uciekała. Zdarzało się też, że któraś szła już z ugadany Niemcem. Nie można było jej zaatakować, bo żołnierz niemiecki by nas nieźle pogonił i było to niebezpieczne. Wobec tego ja wkraczałem do akcji i po niemiecku informowałem delikwenta, że dziewczyna to moja siostra i ma syfilis. Ten, jak to tylko słyszał, od razu odtrącał dziewczynę i uciekał. Ona zostawała z niczym, a ja już pilnowałem, żeby następnego Niemca nie zaangażowała. Jeszcze dodatkowo dostała różgi po łydkach i poszła.

Na pewien czas zrobiliśmy sobie przerwę w handlu i pracowaliśmy tylko na psucie tego interesu. W efekcie pani Wanda nie miała w zasadzie żadnego dochodu. W związku z tym wysłała do mnie taką jedną Alicję, młodą dziewczynę, która powiedziała, że jej szefowa chce ze mną rozmawiać. Poszedłem do niej, usiedliśmy, zrobiła mi herbatę i mówi: „Trudno, skoro nie mam dochodu, muszę pójść na twoje warunki”. I przez kilka miesięcy czerpaliśmy zyski z prostytucji tak, że tych pieniędzy mieliśmy naprawdę sporo. Te, które wpływały od pani Wandy w całości odkładaliśmy do pudełka na wewnętrzne potrzeby. To nam się w późniejszym czasie bardzo opłaciło.

## Niebezpieczne sytuacje

Pisałem już poprzednio o tym, że do Lwowa przywożono różnymi środkami komunikacji ze wschodu rannych żołnierzy. W pewnym momencie było ich tak bardzo dużo, że Niemcom zaczęło brakować dla nich krwi. Kiedyś w mieście gruchnęła wiadomość, że po ulicach jeżdżą niemieckie sanitarki i wylapują młodych ludzi – nastolatków, dziewczyny, ale najwięcej chłopców. Jak się dowiedzieliśmy, ci ludzie nigdy nie wracali do domów. Nasz chłopięcy wywiad dowiedział się prawdy. Obserwowaliśmy Politechnikę, w której był wtedy centralny szpital wojskowy. Oni zwozili tych ludzi tam, po odpowiednich badaniach wypompowywali z nich całą krew, a zwłoki wrzucali do takiego potężnego dołu, który koparki wykopały w ogrodzie uczelni. Polewali je jakąś substancją (może to był kwas, w każdym razie unosiły się potem kłęby dymu), zasypywali wapnem i ziemią i ślad po tym nie zostawał.

Myśmy szybko roznieśli po mieście wieść, żeby nie chodzić samemu, bo z karetki wyskakują dwa łapiduchy, łapią człowieka i ślad po nim ginie. Nas to strasznie poruszyło, baliśmy się przeokropnie. Któregoś dnia siedziałem na ulicy czekając z papierosami na klientów. Podjechała sanitarka i dwóch żołnierzy w białych fartuchach zaczęło coś do mnie mówić. Ja byłem na bosaka, ale dostałem takiego zrywu, że uciekałem, przez przelotowe bramy, inne zakamarki, jak tylko szybko można było. Oni nie znali tych przejść, więc nie mogli mnie dogonić.

W lecie 1943 roku zauważyliśmy, że Niemcy wykazują wzmożoną aktywność. Na ulicy było widać masę patroli – piesze, na motocyklach, z karabinami maszynowymi. Jeździli po Gródeckiej, zatrzymywali się, na chodnikach ustawiali karabiny maszynowe. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje i czekaliśmy, co będzie dalej. Podeszliśmy bliżej, żołnierze nie reagowali, bo obdarci chłopcy nie stanowili dla nich zagrożenia. Odpędzali nas tylko od jezdnii. Stanęliśmy w oszklonej bramie i widzieliśmy, jak od strony lotniska, Gródecką w dół, do centrum miasta jedzie kolumna samochodów. Poprzedzała je kolumna motocykli, a za samochodami wojskowymi jechała otwarta wielka limuzyna. Siedzieli w niej oficerowie, a za nimi, na tylnym siedzeniu gubernator Frank, który wtedy przyjechał do Lwowa z wizytacją. Pierwszy raz go widzieliśmy i tak się zastanawialiśmy z chłopakami, co to by była za frajda z dachu jakąś bombę wrzucić do tego samochodu. Komentowaliśmy ten przejazd, ale zajęliśmy się swoimi sprawami.

Na drugi dzień jechał w odwrotną stronę – też kolumna, motocykle, samochody. A na trzeci dzień zaczęły się niesamowite łapanki. Wszędzie mnóstwo SS-manów z budami. Podjeżdżali w różne miejsca, zamykali ulice, wygarniali ludzi z bram. I wtedy jasne było, że to na polecenie tego Franka – gubernatora dystryktu krakowsko-lwowskiego. To było niesamowite przeżycie – te łapanki, strzelanie na ulicy do ludzi, którzy chcieli się z nich wydostać, krzyki, płacz.

Mojego wujka Władka wtedy właśnie złapali na ulicy i zamknęli w ciężkim więzieniu na Łęckiej. Była tam przeprowadzana selekcja – do obozu, na roboty, do rozstrzelania na miejscu. Ciotka się dowiedziała, że on tam jest. Nie wiem dokładnie, co się działo, ale już na drugi dzień szykowała paczkę, a w niej dużo cebuli, smalec w słoikach i jeszcze jakieś produkty. Trzymali go na Łęckiej jakieś trzy tygodnie. Ciotka sprzedała wszystko, co miała wartościowego w domu (od nas też poszły jakieś rzeczy), zapożyczyła się u znajomych i udało jej się go wykupić. Chciałem jeszcze opisać sprawę samobójczego lotu Heńka (tak go nazywałem), mojego znajomego pilota na lotnisku w Sknielowie. Poznaliśmy się w nietypowych i bardzo niebezpiecznych dla mnie okolicznościach. Kiedyś w czasie handlu złapał mnie SS-man i groził, że mnie zabije (pewnie by to zrobił, bo oni nie mieli żadnych oporów). Niespodziewanie ujęło się za mną dwóch oficerów lotnictwa, którzy pijani wracali z jakiejś libacji. Zaczęli grozić mojemu oprawcy bronią i on mnie puścił. Jeden z nich nazywał się Hainrich, pochodził z polsko-niemieckiej rodziny ze Śląska i o dziwo zaprzyjaźniliśmy się. Od jego kolegi dowiedziałem się, że zapalał do mnie sympatią z uwagi na to, że zarówno z twarzy, jak i z budowy ciała byłem bardzo podobny do jego brata, którego zostawił w Bytomiu i dawno nie widział. Z tego, co później powiedział mi ten sam kolega wynikało, że był on bardzo rozbity psychicznie z uwagi na cofające się fronty. Opowiadał mi, że któregoś razu polecili nad Stalingrad w 12 samolotów, a wróciło ich trzech – Heniek i jeszcze dwóch innych pilotów. Tam było straszne piekło i w jego psychice nastąpiła zmiana. Widział bezsens tej wojny, tę tragedię ludzką i postanowił z tym skończyć. Zginął więc, bo nie mógł pogodzić się z wojną. Wsiadł do załadowanego bombami samolotu i pikując, uderzył w budynek dowództwa, nieopodal którego był magazyn benzyny lotniczej. Widziałem wtedy, jak beczki z benzyną wylatują w powietrze, tam się rozrywają i płonąca benzyna opada w dół. To był niesamowity widok, ale nie wiedziałem, że to właśnie Henryk to spowodował.

## Ucieczka Niemców

Scena z lipca 1944 roku, kiedy Niemcy wycofywali się ze Lwowa. Na naszej Gródeckiej pojawiło się stanowisko artyleryjskie. My, chłopaki ulicy, ciągle kręciliśmy się koło niego. W pewnym momencie, już nie pamiętam którego dnia, znienacka pojawił sięczołg radziecki, którego załoga najwyraźniej go nie zauważyła. Za nim w kolumnie jechały następne. Artylerzyści niemieccy natychmiast wystrzelili w jego kierunku, ale nie trafili. Zrobił się rwetes, podniosła kupa kurzu, obsada działa załadowała drugi pocisk. Jednocześnie czołgiści zorientowali się, że są ostrzeliwani z działa i wieżyczka zaczęła się obracać w jego kierunku (czyli naszym, bo staliśmy obok). Artylerzyści zaczęli mnie odganiać, ale przecież musiałem zobaczyć, co się będzie dalej działo. Niemcy wystrzelili pierwsi. Rozwaliło tę wieżyczkę, czołg zaczął się palić, a idące za nim cofnęły się i od tego momentu przez dłuższy czas nikt się nie zbliżał (dziwna historia!) i spalony czołg tam stał. Jednak zanim został trafiony jeden z żołnierzy radzieckich puścił serię z karabinu maszynowego w stronę baterii i strzelec został ranny w udo. Leżał na chodniku i współtowarzysze zrobili mu prowizoryczny opatrunek. Krótco po tym zdarzeniu od strony lotniska nadjechała sanitarka niemiecka i żołnierze zatrzymali ją prosząc o zabranie rannego. Z sanitarki wyszło dwóch wyższych oficerów (chyba jakiś sztab uciekał na zachód). Odgonili tych żołnierzy, kazali im nadal bronić pozycji, a sami odjechali Gródecką w dół. Załoga działa była bardzo wzburzona ich zachowaniem. Szybciutko armatę obrócili, wycelowali i grzmotnęli w sanitarkę – rozniosło ją w pył. Ze złością przyczepili armatę do ciągnika, rannego położyli na lawecie i pojechali w tym samym kierunku, co sanitarka. Byli to ostatni żołnierze niemieccy, których wtedy widziałem.

## Druga okupacja sowiecka

Od momentu, gdy Niemcy z armatą odjechali, nastąpił krótki okres bezkrólewia Niemcy uciekli, Rosjanie jeszcze nie weszli i nastąpiła cisza, ale tylko pozornie. W tym czasie zaczęły się niesamowite naloty na Lwów. Punktualnie o 9-tej wieczorem słychać było syreny, nadlatywały radzieckie bombowce i zrzucały swój ładunek na kamienice. Jak się później zorientowałem, oni po prostu wprawiali się w bombardowaniu miast, co im się przydało np. przy zdobywaniu Wrocławia. Wiedzieli już, że wygrają tę wojnę i będą musieli walczyć o różne miasta, więc chcieli celnie trafić w obiekty. Swoich nie chcieli rujnować, więc napatoczył im się Lwów. Strasznie bałem się tych bombardowań, to było coś niesamowitego.

Kiedy zaczynał się nalot, każdy uciekał do schronu, my również. Schronami były po prostu piwnice pod budynkami. W tych piwnicach spędzaliśmy wieczory, a czasami i noce, przytuleni do ścian, bo wiedzieliśmy, że jak spadnie bomba, to wszystko zawali się do środka, ale być może ściany ocaleją i my wraz z nimi.

Nasza ulica – Bartosza Głowackiego – była zabudowana mniej więcej tak, jak Chmielna w Warszawie. Była wąska i po obu stronach miała ciasno stłoczone kamienice. Bombardowanie trzeciej z kolei nocy było do tego stopnia tragiczne, że po jednej stronie ulicy wszystkie kamienice zostały zburzone. Rosjanie byli na tyle precyzyjni, że jeżeli jedną trafili bombą burzącą, to drugą zapalającą i tak na przemian. Można sobie wyobrazić, co się działo tej nocy – tumany pyłu, walenie się ścian, niesamowity huk, wypadanie cegieł, płacz dzieci, zawođenje modlących się ludzi. To była straszna tragedia. Ja w czasie tego nalotu najpierw krzychałem, a potem tylko charczałem, bo mi odjęło mowę i cały się trząsałem, jak w febrze. Kiedy już odlecieli i mogliśmy wrócić do mieszkania, nie spałem do rana, bo byłem w szoku.

W czasie tego bezkrólewia odkryliśmy z chłopakami niemieckie magazyny amunicji przeciwlotniczej, których wtedy nikt nie pilnował. Braliśmy stamtąd i rozbajaliśmy pociski artyleryjskie. Wyjmowaliśmy z nich laski prochu długie na 20-25 cm, tak zrobione, że w środku był otwór. Jak się zapaliło z jednej strony, to najpierw przyskało jak sztuczne ognie. Trzeba to było przydusić nogą, wtedy zaczynał wydobywać się otworem gaz i na zasadzie odrzutu laska leciała w drugą stronę jak rakietka. To była niesamowita zabawa. Przy okazji braliśmy też i rozbajaliśmy pociski do zenitówek ( karabiny przeciwlotnicze).

Pewnego dnia z którymś z kolegów poszliśmy zaopatrzyć się w ową amunicję. Weszliśmy do bunkra i ze skrzyni wyjęliśmy te małe pociski (około 20 cm), których naładowaliśmy sobie za koszule, a potem każdy z nas wziął po jednym artyleryjskim w ręce. Wyszliśmy stamtąd, a zza bunkra wyskoczyli czerwonarmiści – pierwsi, którzy wchodzili do Lwowa – i do nas: „Ruki w wierch”. Rzuciliśmy przed siebie te pociski artyleryjskie, a oni kazali nam wyrzucić też te, które mieliśmy za koszulami i zdjąć paski. Tymi paskami związali nam ręce, zaprowadzili za betonowy wyłom i kazali usiąść. W tym czasie inna grupa żołnierzy ze szpikulcami wyszukiwała miny. Nie wiedzieliśmy o tym, że Niemcy zaminowali ten teren, wydeptaliśmy sobie taką wąziutką ścieżkę i tylko nią chodziliśmy nie zbaczając na boki. A tymczasem tam było pełno, wręcz niesamowite ilości różnego rodzaju i kalibru min. Wśród nich były też przeciwczołgowe, talerzowe. Rosjanie je wydłubowali i układali po 3-4 w stosiki. Podłączali do nich przewody elektryczne, uciekali za taki duży nasyp, gdzie mieli iskrownik i wysadzali je w powietrze. Przyszedł po nas taki stary sierżant z wąsami, kazał iść za sobą i krzychał, że jesteśmy niemieckimi szpiegami i przysłaliśmy kraść te pociski, żeby zabijać Rosjan. Posadził nas oddzielnie na stosikach tych min talerzowych. Wszyscy odeszli za ten nasyp i byliśmy pewni, że zaraz nas wysadzą. Krzyczeli „wnimanie, wnimanie”, my obaj już żegnaliśmy się z życiem. Po jakimś czasie jeden żołnierz wyszedł zza tego nasypu, bez słowa przeciął krępujące nas paski i pokazał, gdzie mamy uciekać. Trzymając w jednym ręku portki zmykaliśmy jak zające i chyba pobiliśmy rekord olimpijski na tym dystansie. Nigdy już nie zbliżyliśmy się do tych magazynów.

No i zapanowała we Lwowie władza radziecka. To była straszna dzicz. Ja nadal handlowałem papierosami, teraz już z Ruskimi. Zaczepiałem żołnierzy na ulicy: „Dziadzia, śmiejesz cigarety predat?” No dobra, miał. A on do mnie: „A wódka imiejesz?” Wiedziałem, że oni są łasi na wódkę. Kupowaliśmy więc bimber, przelewaliśmy go do naszych butelek i chowaliśmy je gdzieś w bramach, piwnicach, pod schodami. Kiedy Rusek miał coś do sprzedania, kazaliśmy mu czekać i przynosiliśmy. Za ten bimber dużo rzeczy się kupowało, zwłaszcza bardzo dobre amerykańskie tuszonki i papierosy. Poza tym jakieś mydło, ale było podłej jakości. Papierosów mieli sporo i to różnych marek („Kazbek”, „Bielamor Kanał” i inne). Były gorsze niż niemieckie i nasze. Jednak sprzedawały się. Nasza fabryka została zbombardowana.

Kupowaliśmy także rzeczy, które przychodziły od żołnierzy ze Śląska, bo oni szybko poszli na zachód i obrabiali już Wrocław. Stamtąd wieźli do siebie szaber – ciężarówka pełne wszelakich dóbr – fortepiany, meble, dywany, w których się lubowali i inne rzeczy. Czasami od nich coś kupowaliśmy. Kiedyś obok mojego stałego miejsca stanął taki załadowany samochód. Podeszedłem i zapytałem, czy mają coś na sprzedaż. Kierowca wyciągnął taką skórzaną raportówkę niemiecką, jaką nosili oficerowie. Bardzo mi się podobała, kupiłem ją i przywoziłem aż do Polski, do Gdańska, gdzie chodziłem z nią do szkoły.

Ruscy opanowali Lwów 22 lipca 1944 roku. Szybko wprowadzili swoje porządki, swoje władze i zaczęły się represje. Wyłapywali AK-owców, ich żony i całe rodziny, które mieli na listach. Bardzo im w tym pomagali Ukraińcy. Kiedy we Lwowie byli Niemcy, pomagali im. Jak nastali Rosjanie, sprzymierzyli się z nimi. Po nocach jeździły samochody, wygarniali ludzi z mieszkań i formowali wielkie, kilkusetosobowe kolumny. Ludzie szli ze swoimi tobołkami w niewiadomym kierunku.

## Repatriacja

Po paru miesiącach wyszło rozporządzenie władz Lwowa o ewakuacji Polaków. Wszyscy się mieli wynieść z miasta z takim dobytkiem, jaki będą w stanie utrzymać w rękach i na plecach. Reszta miała pozostać w mieszkaniach dla nowych lokatorów.

Ludzie wyjeżdżali z Dworca głównego, ale nie z tego pięknego osobowego, ale z towarowego, który był obok. Z niego odchodziły transporty do Polski. W efekcie moja rodzina zaczęła planować wyjazd. Mama z babcią zebrały niezbędne dokumenty (metryki i świadectwa szkolne, na których określano narodowość i wyznawaną wiarę rzymskokatolicką) i zgłosiły się do Polskiego Urzędu Repatriacyjnego, który na ich podstawie wydawał dokumenty pozwalające na to, aby Rosjanie nas wypuścili. Miały to być jakby dowody osobiste, ale miały postać jakichś świstków. Po trzech lub czterech dniach, spakowaniu pościeli, ubrań i żywności zostawiliśmy nasze mieszkanie i udaliśmy się na dworzec.

Była tam rosyjska komenda, która wyznaczała repatriantom wagony. Zaprowadzili nas do składu i wtedy okazało się, że były to węglarki (w których uprzednio przywieziono węgiel ze Śląska) bez okien i dachu. Było tam pełno miazgi i było bardzo brudno. Kazali nam się ścisnąć w tych wagonach i zamknęli burty. Ciemno, brudno, nic nie było widać, tylko niebo nad głową. Coś makabrycznego. Wieźli nas przez cały dzień i całą noc, podczas której padał deszcz. Staliśmy dosyć długo przy granicy, aż wjechaliśmy na teren Polski do Jarosławia.

Babcia i mama postanowiły tu wsiąść, chociaż niektórzy pojechali dalej na Śląsk. Zmoczeni, brudni, oblepieni pyłem węglowym, który się dostał wszędzie, wyglądaliśmy jak górnicy, którzy wyjechali z dołu po szychcie. Na stacji był punkt PCK dla repatriantów. Skierowano nas do jakichś baraków, umyliśmy się w łaźni i dostaliśmy czyste i suche ubrania. Przenocowaliśmy tam i rano babcia dowiedziała się, że jest przygotowywany pociąg repatriacyjny do Gdańska (z ludnością z terenu Polski, przemieszczaną w ramach zasiedlania Ziemi Odzyskanych). Włączono nas do tego transportu. Były to już wagony normalne, bydłce, z dachem, okienkiem i rozsuwanymi wrotami. Dla nas był to luksus. Jechaliśmy wagonem, w którym rozlokowano rodzinę ze wsi – gospodarza, gospodynię i troje dzieci, dwie córki i syna. Jechali z zapasem siana, krową, kozą i dwoma królikami i zajmowali trzy czwarte powierzchni. Nam to nie przeszkadzało, bo właściwie niczego nie mieliśmy i miejsca nam starczało. Ta sytuacja wyszła nam zresztą na dobre, bo mieliśmy mleko od krowy i kozy, a poza tym oni byli świetnie zaopatrzeni w żywność i się z nami dzielili. Mieliśmy jak u Pana Boga za piecem.

Jechaliśmy do tego Gdańska trzy tygodnie między innymi przez Poznań, gdzie staliśmy parę dni, bo był to maj, parę dni po zakończeniu wojny i na wchód szły wojska z frontu. Ale była dobra pogoda, ciepło, my byliśmy najedzeni, więc nastroje mieliśmy dobre. Jechaliśmy z różnymi perypetiami, na przykład, kiedy w lokomotywie brakowało węgla, mężczyźni szli do lasu i ścinali drzewa.

Gdy dojeżdżaliśmy do Gdańska, już wiele kilometrów przed miastem czuć było odór spalenizny. Skierowano nas na bocznicę towarową. Przyszli milicjanci z opaskami i powiedzieli, że kto chce, może wsiąść, bo tutaj są dobrze zaopatrzone mieszkania. Zdecydowaliśmy się tu zostać.